

# MAGAZYN KONFEKCYI DAMSKIEJ

## Leona Grabowskiego w Krakowie, Plac Maryacki L. 9 róg Rynku głównego

poleca bogaty wybór okryć damskich i kostyumów bluzek  
strojnych i angielskich, łoa strusich i rękawiczek.

Sprzedawca materiałów na metry.

WŁASNA PRACOWNIA.

GASTON LEROUX.

## BALAOO

KSIEGA I.

### Przestrach we wsi.

2)

Patryk, który był praktykantem notaryalnym u swego ojca przy ulicy Eau w Clermont Ferrand, miał usposobienie dosyć bojaźliwe. Drząc zsunął się z bilardu. Ze ściśniętym gardłem, z kroplami potu na czole, podziwiał odwagę Blondela zbliżającego się do drzwi szynkowni, wychodzących na ulicę, za kłosem słyhać było jęki. Komiwojażer w chustce, zamiast szlafmicy na głowie, z koszulą wyciągniętą na spodnie, bosy — wyglądał bardzo śmiesznie. Patryk jednak nie myślał śmiać się.

Jęki raptownie ustały. Blondel i Patryk przyglądali się sobie w milczeniu — przy ponurem świetle lampy wiszącej nad bilardem. Cały tajemniczy dramat, którego ofiarą padli Camus i Lombard — stanął przed ich oczami. Sprawa tak samo się zaczynała, jak wówczas: od jęków. Nagle odwrócili głowy. Drzwi od schodów prowadzących na górę otworzyły się i stanął w nich Roubion z rewolwerem w ręku.

— Czyście panowie słyszeli? — zapytał szeptem. — Słyszeliśmy.

Roubion był, jak i żona, olbrzymiego wzrostu, jednak trząsł się jak liść. Wszyscy trzej stali przez chwilę przed drzwiami wychodzącymi na ulicę, wsłuchując się w ciszę nocy wiejskiej, której nic nie zamącało.

— Może omyliliśmy się — rzekł Roubion z westchnieniem, po namyśle.

Blondel, który tymczasem odzyskał zimną krew, pokręcił głową przecząco.

— Zobaczymy.

— Jaktó! Przecież pan nie będzie otwierał drzwi — zaprotestował oberżysta.

Blondel nie odpowiedział i zajął się rozniesaniem ognia na kominie. Noc nie była ciepła, chociaż był początek lata. Wszyscy trzej zbliżyli się do komina i Roubion zaczął grzać wino w rondelku.

— W każdym razie — powiedział komiwojażer — opłaciłoby się tych bandytów złapać.

— Milcz pan — zawołał Roubion. — Nie trzeba się tem zajmować, bo to przyniesie nieszczęście.

— Rzeczywiście — potwierdził Patryk — to nie nasza sprawa!

— Niech pan sobie przypomni Camusa i Lombarda! Gdybyż byli nie otwierali drzwi!

Blondel, który był w podróży w czasie spełnienia tych dwu zbrodni, zapytał o szczegóły. Roubion, nie słysząc nic podejrzanego, uspokoił się i zaczął szeroko opowiadać.

— Oto jak się to odbyło. Lombard i jego stara ciotka, zamknąwszy szczelnie wszystkie drzwi i okna, jak się to u nas w Saint Martin teraz robi — położyli się spać. Pokoje ich były na parterze. Fryzjer zasnął mocno, lecz w nocy został zbudzony przez ciotkę, zaniepokojoną jakimś odgłosem. Lombard zaczął nasłuchiwać. Rzeczywiście, słyhać było jakieś jęki. Było to jakby rżenie przerywane żałosnymi krzykami. Lombard wstał, zapalił świecę i wyjął z szafki nocej rewolwer. Panowie wiedzą, jak się u nas musi być ostrożnym. Ciotka zaczęła go błagać szeptem, aby nie otwierał drzwi. Lombard zapytał głośno:

— Kto tam jest i kto się s arży? Odpowiedział mu głos: „To ja, Zoe. Litości dla domu człowieka!”

— Co to ma znaczyć: „Litości dla domu człowieka!” — przerwał Blondel.

— Ah, to jest wyrażenie tej dziewczyny. Żyje ona jak zwierzątko, to w norze swoich braci, to

w lesie, a że ci bracia rozmawiają ze sobą złodziejskim żargonem, więc i ona używa wyrażen, których nikt nie może zrozumieć.

— A więc widzi pan, że to była ona — rzekł Blondel, nie może być o tem dwa zdań.

— Niech pan czeka! Było to koło jedenastej. Nie zważając na protesty ciotki, Lombard otworzył drzwi i wyrzwał na ulicę. Noc była jasna — nic jednak nie zobaczył, czem był mocno zdziwiony. Jęki ucichły. Bojąc się zasadzki, nie wyszedł za próg i tylko zawołał na Zoe. Nie dostawszy odpowiedzi, zamknął starannie drzwi i położył się, mówiąc: „Znowu jakaś farsa, nie można spać nawet spokojnie w Saint Martin”. Ciotka również się położyła, ale po tem zająściu nie mogła zasnąć. Nie spała całą noc.

— O — rzekł Patryk — musiała zasnąć... Inaczej byłaby słyszała!...

— Upewnia, że nie zmrzyla oka. Drzwi od pokoju siostrzeńca były otwarte. Rano wstała i jak zwykle poszła otworzyć okiennice w sypialni Lombarda. Odwróciwszy się, ujrzała ze zdziwieniem, że go nie było w alkowie. Zdumiona otworzyła drzwi, prowadzące do pokoju fryzjerskiego i krzyknęła przeraźliwie. Ciało nieszczęśliwego fryzjera wisiało pośrodku pokoju na haku od lampy. Na razie myślano, iż to był zamach samobójczy, ale doktor Honorat i lekarz sądowy stwierdzili uduszenie, które miało miejsce przed powieszeniem. Musiało się to odbyć tak raptownie, iż nieszczęśliwy nie zdążył nawet krzyknąć — inaczej ciotka byłaby coś słyszała. Co było najbardziej tajemnicze, to sposób, w jaki ciało było przeniesione do sklepu i powieszone! Nie było żadnych śladów w sklepie, który był z wieczora świeżo wysypany piaskiem. Wreszcie dowodem tego, iż Lombard nie powiesił się sam, było to, iż nie znaleziono koło niego ani krzesła, ani stołka wywróconego.

— Tak — powiedział Blondel, kiwając głową. — Nędznicy mają przeróżne sposoby! No, a jakże było z Camusem?

— Ta sama historia. On także usłyszał jęki i poznał głos Zoe. Camus był przyjacielem Lombarda, pomyślał, iż nadarza się dobra sposobność do wykrycia zbrodniarza i pomszczenia śmierci fryzjera. Uzbroidł się więc i otworzył drzwi — ale jak i tamten nic nie zobaczył i nic więcej nie usłyszał. Lecz zamknąwszy drzwi, nie położył się więcej. Przez ostrożność zapalił wszystkie lampy w sklepie i z rewolwerem pod ręką zaczął obliczać kasę. Chłopakowi, który u niego służył, kazał iść spać. Na drugi dzień chłopak ów znalazł swego pana powieszzonego na żelaznym haku, służącym do zawieszania metra krawieckiego. Rewolwer leżał jak przedtem na kasie, z której nic nie ruszono. Gardło Camusa nosiło te same straszne znaki uduszenia, jak i u Lombarda. W mieszkaniu zaś nie znaleziono żadnych śladów, któreby mogły wytłómaczyć przebieg zbrodni.

Powtarza się wciąż: „Bracia Vautrins!” I cóż! Oni sami przecież przyprowadzili matką Zoe do sędziego śledczego. Ta zaś z łatwością dowiodła, iż znajdowała się daleko od miejsca zbrodni w chwili jej spełnienia — więc chyba głos jej ktoś nasładował.

— A gdzie ona była? — zapytał Blondel.

— Pomagała służącej pana metra w myciu naczyń, gdyż było tam tego dnia wielkie przyjęcie.

— Doskonałe alibi! — zadrwił komiwojażer.

— Panie Blondel, pana zaślepie polityka — rzekł Roubion, dolewając mu wina.

— No, a bracia Vautrin, czy byli badani?

— Sędzia chciał ich badać. Odpowiedzieli, iż Zoe za nich zeznała i że nie są już w tym wieku, kiedy się miewa zatargi z sądem, że dotychczas nie można im było nic zarzucić, a wkońcu zażądali, aby ich zostawiono w spokoju.

— Co za bezczelność! — zawołał Blondel.

— Stuchajcie! — przerwał Patryk.

Jęki rozległy się znowu. Wszyscy trzej zerwali się na równe nogi.

Patryk drżał cały i o mało nie upadł, usłyszawszy nadzwyczaj wyraźnie to straszne zdanie: „To ja, Zoe! Litości dla domu człowieka!” Roubion, błąd jak ściana, ścisnął w rękę rewolwer. Blondel wyrzekł półgłosem:

— To napewno głos Zoe. Nie może być w tem pomyłki, poznaję go. I posunął się ku drzwiom.

Jęki zdawały się zbliżać. Miało się wrażenie, iż się odzywały nad samem uchem. Słyhać było ciężki oddech i powtarzające się rozpaczliwe zdanie:

— „Litości! Litości dla domu człowieka!”

Blondel odwrócił się i jednym skokiem dopadł do kijów bilardowych i chwycił jeden z nich.

— Oh, nie! Nie otwieraj pan, wyjął oberżysta. To znowu to samo, co z Lombardem i Camusem! W taki sam sposób zostali zamordowani. Nie otwieraj pan, bo zginiemy!

Oberżysta wykrztusił te słowa, trzęsąc się ze strachu tak okropnie, iż przejął wstrętem Blondela.

— Ach, cóż za tchórzostwo! Jedno z dwojga: albo mordują tę małą, albo drwią sobie z nas! Wreszcie, dodał wycierając gorączkowo pot z czoła — może to Hubert przychodzi się mścić! Ale do licha, przecież nas jest trzech! I pan masz rewolwer, ojcze Roubion.

— Nie otwieraj pan, nie otwieraj! — powtarzał Roubion.

Teraz zdawało się, iż Zoe kona za drzwiami, i wydaje ostatnie tchnienie.

— W każdym razie trzeba się dowiedzieć, co to jest, protestował Blondel, uzbrojony w kij bilardowy.

Następnie zapytał silnym głosem:

— Kto tam? Kto jęczy? Czy to ty, Zoe?

Usłyszał jednak w odpowiedzi tylko rżenie. Raptownie odsunął zasuwę i obrócił klucz w drzwiach:

— Gdzież są ci bandyci? — krzyknął.

Wysunął głowę, a wreszcie stanął na progu ze swym kijem bilardowym.

Róg ulicy był jasno oświetlony latarnią. Mimo to Blondel nic nie zauważył, jęki zaś ucichły. Przywołał znakiem Patryka i oberżystę. Zbliżyli się zwalczając strach, którego się obecnie wstydzi.

W głębi duszy wstydzi się swego tchórzostwa. — Blondel miał rację: było ich trzech; prócz tego w oberży było pełno podróżnych, którzy zbiegliby się na pierwsze zawołanie — przynajmniej można było się tego spodziewać.

— Czy widzicie panowie cokolwiek? — zapytał komiwojażer. — Co do mnie, nie widzę nic.

— Nic! Nic nie widać! Nic niema.

— Zaczekajcie chwilę, dojdę do rogu ulicy!

— Panie Blondel, proszę tego nie robić!

Ale tamten był już na ulicy. Prześlizgnął się cicho swemi bosymi nogami aż do rogu uliczki, zajrzał, nie zapuszczając się w nią, nadłuchiwał przez chwilę, wreszcie wrócił i udał się w drugą stronę na róg placu Merostwa.

Światło gazowej latarni poruszało olbrzymim cieniem Blondela uzbrojonego wciąż w kij bilardowy. Cisza, niezrozumiała po tylko co słyszanych jękach, ciążyła nad wsią i to wydawało się Patrykowi straszniejszem, niż same jęki. Musiano je słyszeć w sąsiednich domach, lecz się tam nikt nie poruszył. Przestrach, który wszechwładnie panował w Saint Martin des Bois, nie pozwalał doszukiwać się przyczyn nocnych hałasów. I na ulicach wsi księżyc mógł wodzić tańczące cienie trzech braci, albo wydłużać kształty mniej straszne, lecz niemniej tajemnicze, jak na przykład odbicie kominów, przerażające swą dziwacznością. Nikt się im oczywiście nie interesował. Nie, o nie! nie było ciekawych w nocy w Saint-Martin-des-Bois!...

Drzwi oberży zamknięto. Jednocześnie pani Roubion, bardziej martwa niż żywa, przyłączyła się do męża. I ona słyszała hałasy, lecz nie przeszło jej